

[FRAGMENT]:

Ewa Stachniak

Bogini tańca

tłumaczenie autoryzowane z języka angielskiego Nina Dzierżawska

*Sztuka i taniec przepowiadają przyszłość.
Są podobne do intuicji...*

Bronisława Niżyńska

– Jesteś cudownym dzieckiem, Broniu – mówią. Nadzwyczajny talent. Prawdziwy geniusz. Gdyby tylko moi rodzice się zgodzili, Ja i Jo zaangażowałiby mnie od ręki, bym tańczyła z nimi na scenie. Bylibyśmy absolutną sensacją: „Jackson, Johnson i Niżyńska!”. Świat byłby u naszych stóp. Moskwa, Petersburg. Paryż. Londyn. Ameryka.

– Co ty na to, Broniu? Pojechałabyś z nami do Nowego Jorku?

– Och, tak! – wołam. Oczami duszy widzę już siebie na tej odległej scenie, oświetlonej rozbłyskami fajerwerków. Mam na sobie czarną sukienkę z białym kołnierzykiem, a do tego lśniący cylinder i laseczkę ze srebrną rączką.

– Ależ z ciebie dzieciuch, Broniu. – Głos Wacława wdziera się w tę zachwycającą wizję. Mój starszy brat opiera się o framugę drzwi. Głos ma surowy i dorosły, zupełnie inny niż normalnie. – Oni tylko sobie żartują – dodaje po polsku. – Donikąd cię nie zabiorą.

Zastanawiam się, jak długo tu jest. I czy widział, jak tańczę.

– Co powiesz, Broniu? – pyta Ja. – Zatańczymy jeszcze raz?

Ja i Jo zaczynają klaskać, kręcić biodrami i nucić melodię, na której dźwięk stopy aż mnie świerzbią, żeby zatańczyć. Nowi

przyjaciele patrzą na mnie roześmianymi oczami.

– Nie zwracaj uwagi na brata. Jest po prostu zazdrosny. Przejdzie mu. A tymczasem pokażmy mu, co potrafisz!

– Ja? Zazdrosny? – prycha Wacław. – O nią?

Ma pięć lat. Ja niecałe trzy. Potrafi zrobić wszystko to co ja i o wiele więcej.

Pstrykają palce, stukają obcasy. Gotowy rytm czeka, aż się w niego wślizgnę. Taniec jest jak oddychanie. Jest we mnie, wpleciony w moje ciało. Wystarczy, że go uwolnię. Nie mam wątpliwości. Nie waham się. Ani chwili. Tańczę, szybko, zwinnie. Moje nogi fruują, ręce się kołyszają. Z Ja i Jo u boku obracam się to w jedną, to w drugą stronę, a potem wokół własnej osi, z precyzją i dzikością, które mnie zachwycają. Nie chcę ani nie potrzebuję niczego innego. Kiedy kończymy, Ja kładzie mi rękę na prawym ramieniu, a Jo na lewym.

– Wspaniale, Broniu – mówią. – Jesteś prawdziwą artystką.

A potem płynnym, doskonale wyćwiczonym gestem składają mi ukłon.

Spoglądam na Wacława, który nadal stoi przy framudze, prawą nogę ma zgiętą, opartą na palcach. Patrzy na nas zmrużonymi oczami, rozważając to, co przed chwilą zobaczył. Nie klaszcze.

– To – oświadcza, krzywiąc się – tylko akrobacja. Wodewil.

Dobre ćwiczenie, ale nie sztuka. Obaj moi bracia pobierają lekcje tańca z prawdziwego zdarzenia. Tata uczy ich codziennie, z wyjątkiem niedziel. Ja jestem jeszcze za mała, ale wolno mi się przypatrywać, z czego skwapliwie korzystam, notując w pamięci każdy krok, każdą uwagę, którą tata kieruje do Waclawa i Stasika. Potem ćwiczę ich ruchy przed lustrem w garderobie. W tym roku na Wielkanoc moi bracia wystąpią w Odessie w dziecięcym variétés.

– Zatańczą klasyczny taniec kozacki – mówi tata, a w słowie „klasyczny” dźwięczy duma. Stasik będzie młodzieńcem, a Waclaw jego ukochaną. Okrąży Stasika trzy razy, a potem wyskoczy w górę.

– To po co na nas patrzyłeś, Waca? – pytam. – Czemu tu jeszcze stoisz?

Słyszę, jak za mną Ja i Jo stukają i szurają w rytm moich słów.

– Bo tak! – odpowiada Waclaw.

Zawsze tak mówi, kiedy nie wie, co powiedzieć. Zazwyczaj oznacza to, że przyłapałam go na kłamstwie, ale w życiu się do tego nie przyzna. Wiem, że muszę się zadowolić takim skromnym zwycięstwem. Na razie.

Stanisław, Waclaw, Bronisława. Mali Niżyńscy. Nasi rodzice to jedyni polscy tancerze w wędrownej trupie Łukowicza, występującej w rosyjskich miastach i miasteczkach. Z Odessy do Kijowa. Z Kijowa do Moskwy. Z Moskwy do Petersburga. Na repertuar składają się balety, *divertissements*, zadziwiające numery rozrywkowe oraz – na Wielkanoc i Boże Narodzenie – występy dzieci. W każdym z naszych imion pojawia się wyraz „sława”. Tego właśnie pragną dla nas rodzice, choć na co dzień nazywają nas Stasikiem, Wacą i Bronią.

Jesteśmy dziećmi wędrownych scen. Umiemy się spakować w kilka minut.

Wiemy, jak związać książki sznurkiem tak, żeby potem łatwo było go rozwiązać. Potrafimy spłaszczyć walizkę, siadając na niej, i ścisnąć ją paskiem tak, żeby się nie otworzyła.

Uwielbiamy przyjeżdżać w nowe miejsca i penetrować nasze nowe mieszkania. Zaklepywać sobie łóżka i półki, pomagać mamusi rozłożyć dywany, sprawiać, że pokój stanie się „nasz” dzięki fotografiom w ramkach, wazonowi, który podróżuje opatulony w gazety, i podarunkom otrzymanym przez tatę w dowód uznania dla jego tańca. Mamy figurkę baletnicy z brązu, która moim zdaniem jest piękna, ale Waclawowi się nie podoba, bo tańczy sama. Mamy obrazek przedstawiający klauna z namalowanymi na policzkach dużymi czarnymi łzami. I obraz rosyjskiego targu, gdzie kosze z kory brzozonej są wypełnione grzybami, jabłkami i gruszkami, a piesek w prawym rogu liże natłuszczone koła powozu.

Trupa Łukowicza jeździ z angażu na angaż taborem złożonym z dziesięciu wozów. Gdy nad drogą unoszą się tumany kurzu, mamusia każe nam zakrywać usta wilgotnymi chusteczkami. Kiedy się nudzimy, pokazuje nam przez okno pola arbuźów przypominających ogromne zielone piłki lub płynące po rzece barki, z których machają nam brodaci flisacy.

– Jak dorosnę, też będę flisakiem – oznajmia Waclaw.

– I ja – dodaje Stasik.

Czuję ukłucie zazdrości, bo nigdy nie widziałam flisaczek, do których sama mogłabym dołączyć. Kobiety w wioskach, przez które przejeżdżamy, krzątają się przed bielonymi domami w ogródkach, gdzie rosną słoneczniki, i przy płotach z wikliny, na których suszą się gliniane garnki, ale to żaden honor być jedną z nich, gdy się dorośnie. Bosonogie dzieci karmią gęsi, kaczki i kury. Bram do miasteczek strzegą brodaci Kozacy, którzy zatrzymują nas, żeby wypytać, kim jesteśmy i czego chcemy, i pobrać myto. W naszym wozie mamusia czyta nam polskie książki. „Dawno, dawno temu... Za

siedmioma górami...” Ulubiona opowieść Waclawa to ta o rycerzach olbrzymach śpiących we wnętrzu wielkiej góry i czekających, aż tajemniczy głos powie im: „Przyszedeł czas”. Stasik i ja uwielbiamy historię o Panu Twardowskim, któremu udało się przechytrzyć diabła i zręcznie wylądować na Księżycu, gdzie – jeśli nocą wyteżymy wzrok – niemal widać go, jak jedzie na kogucie.

Tata od bajek woli piosenki. O ułanie, który prosi piękną dziewczynę o całusa. O słoneczku, które nie chce zejść. O zielonym mosteczku, moją ulubioną. Kiedy tata śpiewa, robi śmieszne miny, naśladując strach dziewczyny, która idzie po rozchwianych deskach zielonego mostku, albo dufny uśmiech jej niestrudzonego zalotnika, wymyślającego różne podstępny, żeby podbić jej serce.

Wszyscy urodziliśmy się w trasie. Stasik w Tyflisie, a dwa lata później Waclaw w Kijowie. Ja przyszedłam na świat w Mińsku, godzinę po tym, jak rodzice zatańczyli razem w operze Glinki *Życie za cara*. Mamusia była jeszcze w stanie wykonać poloneza na początku opery, ale potem zaczęły się bóle i prędiutko pojechała do szpitala wynajętymi saniami. Inna baletnica zastąpiła ją u boku taty, tańcząc mazurka i krakowiaka.

Poród nie trwał długo. Zanim jeszcze opadła kurtyna, goniec ze szpitala oznajmił mojemu ojcu, że po dwóch synach doczekał się córki.

Waclaw i Stasik doznali już łaski cudu.

– Waclaw urodził się w czepku – mówi mamusia.

To niezwykle znak, wyróżnienie, obietnica wielkości. Wyobrażam go sobie, jak zjawia się z innego świata w anielskim nakryciu głowy. Może haftowanym w gwiazdy, planety, kwiaty i ptaki w locie. Ciekawa jestem, gdzie teraz jest ten piękny czepki i czemu Waclaw go nie nosi. Mamusia wybucha śmiechem i tłumaczy, że czepki nie był zrobiony z materiału.

– Zniknął – dodaje z tajemniczym uśmiechem, który sprawia, że wszystko

staje się jeszcze bardziej intrygujące, i daje Waclawowi kolejny powód, by mówić:

– Jestem wybrańcem losu.

(...)

Odkąd pamiętam, żyliśmy w rozjazdach, ale przeprowadzka do Petersburga ma w sobie coś szczególnego. W moim wspomnieniu letnim miesiącom poprzedzającym nasz wyjazd towarzyszy jakiś ciężar, przerywają je wybuchy zniecierpliwienia taty, po których mamusia milknie i popłakuje. Drzwi do sypialni rodziców zamykają się z głuchym łoskotem, a gdy przykładam do nich ucho, słyszę szlochanie mamusi i niespokojne kroki ojca, który ze wzburzeniem krąży po pokoju. Tyle rzeczy go złości, myślę sobie. To, że służąca brzęka garnkami, kiedy on usiłuje podliczyć domowe wydatki. Niezdarność Stasika. Pytania mamusi, gdzie był tyle czasu i z kim. Nawet podczas porannych lekcji tańca, gdy wydaje mi się, że Wacy idzie wyjątkowo dobrze, tata powtarza tyko:

– Jeszcze raz... od początku... broda do góry... wyżej... wyżej... nazywasz się Niżyński, więc przyłóż się, na miłość boską!

Większość wybuchów złości ojca nie skupia się na mnie, ale przez to gniewa się na mnie Waclaw. Kiedy tylko nasze lekcje się kończą, znika.

– Donikąd – odpowiada, gdy pytam, dokąd się wybiera. Albo jak w bajce: – Gdzie mnie oczy poniosą.

Na próżno proszę, żeby pozwolił mi iść ze sobą. Jestem za mała. Jestem dziewczynką. Jestem za słaba. Przeszkadzałabym mu tylko w robieniu tego, na co ma ochotę. Aż do dziś wracam myślą do tego popołudnia. Jest słonecznie, w powietrzu tańczą drobinki kurzu. Siedzę przy stole w jadalni na wyściełanym krześle. Obok mnie Stasik je grubą pająkę chleba z masłem posypaną cukrem. Zielonkawa mucha krąży nad nim, głośno brzęcząc. Na wpół wyjedzony słonecznik leży na tyle blisko, że mogę wyskubywać z niego ziarna. Wybieram

jedno po drugim, odgryzam koniuszek i wysysam wnętrze, aż łuski, czarne w białe prążki, robią się zupełnie płaskie. Próbuję skończyć rysunek, nad którym pracuję. Przedstawia konia ciągnącego powóz. Sam powóz z dużym oknem i kołami był łatwy do narysowania, ale koń wygląda jakoś dziwnie. Nogi ma za krótkie, a grzbiet za długi i krzywy. Próbuję go zetrzeć, ale mimo że staram się jak mogę, stary kształt jest dalej widoczny.

Mamusia siedzi z nami i ceruje skarpetki. Widzę, że jest zdenerwowana, bo często przerywa i zerka na zegar, aż w końcu wstaje i podchodzi do otwartego okna.

– Gdzież on się podział tym razem, Broniu? – pyta, wychylając się na zewnątrz z nadzieją, że dostrzeże Wacę wśród chłopców bawiących się na ulicy. – Czemu go nie zatrzymałaś?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Waclaw nigdy mi nie mówi, dokąd idzie, tylko gdzie był, i za każdym razem jest to inna historia, jedna niezwyklejsza od drugiej. Stajenny pozwolił mu pojechać na oklep nad rzekę i pokazał mu gniazdo sroki. Waca tańczył hopaka przed flisakami, którzy dali mu całego rubla i zaprosili na swoją barkę. I ma na to dowody: błyszczącą monetę, szalik, niebieskawe nakrapiane jajeczko, które nakłuł z obu stron i wydmuchał jego zawartość. Niekiedy przynosi prezenty. Dla mnie wyrzucone na brzeg kawałki drewna, przypominające ogon syreny albo węża. Dla Stasika podkowę. Dla mamusi błękitny paciorek w kształcie łezki, którego powierzchnia jest spękana jak skorupa żółwia. Mamusia wychyla się przez okno jeszcze bardziej, jakby zauważyła go na ulicy, ale musiał to być jakiś inny chłopiec, nie „nasz Waca”, bo mama mówi:

– Gdzie on może być o tej porze? A jeśli coś mu się stało?

– Przestań, na miłość boską – wtrąca ojciec. Jest w sypialni, ubiera się do teatru, ale drzwi zostawił otwarte. – Tak się nad nim trzęsiesz, jakbyś chciała zrobić z niego maminsynka.

Coś spada na podłogę i toczy się po niej, aż wreszcie zatrzymuje je głośnie tupnięcie buta.

Obok Stasik wzdryga się i chwytą mnie za rękę tak mocno, że czuję, jak głęboko w brzuchu kurczą mi się mięśnie. To takie samo uczucie, jak kiedy huśtam się bardzo wysoko albo gdy karuzela zatrzymuje się zbyt gwałtownie. Mamusia nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo drzwi się otwierają i do mieszkania wbiega Waclaw, zdyszany, spocony, z twarzą umorusaną błotem.

– Wróciłem – woła wesoło.

Mamusia wzdycha z ulgą.

– Gdzieś ty był?... Tak się o ciebie martwiłam!

– Nad rzeką. Zobacz, co ci przyniosłem!

Waca wyciąga coś z kieszeni, gdy nagle z sypialni wyłania się ojciec. Policzki i szyję ma pokryte czerwonymi plamami, koszulę rozpiętą. Krawat, który trzyma w ręce, zwisa bezwładnie jak martwa ryba.

– Dość tego przesłuchiwania! Człowiek nie może tu się nawet ubrać do teatru w spokoju!

Waclaw prostuje się i wysuwa do przodu prawą nogę, jakby szykował się do hopaka. Obok mnie Stasik, który tymczasem puścił moją rękę, zaczyna się kiwać do tyłu i do przodu.

– Przestań. Przestań. Przestań – mamrocze. Ojciec nie przestaje.

– Czy nie wiesz, że zabawy nad rzeką są niebezpieczne? Jesteś idiotą? Nie masz krztyny rozumu w tym zakutym łbie?

Słowa fruują, eksplodują, każde z nich jest ostre, oślepiające, każde jest jak cios.

– Umieć pływać. Co cię obchodzi, dokąd chodzę?

– Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób?

– Mówię, co mi się podoba.

– Nie w moim domu! Nie w mojej obecności.

Każde zdanie jest głośniejsze niż poprzednie. Mamusia zakrywa Stasikowi uszy dłońmi. Moje oczy biegną od ojca do Waclawa i z powrotem. „Ulicznik... włóczęga... nicpoń... głupiec... zdrajca”.

– Marsz do sypialni, Waławie, w tej chwili. Nie waż się wyjść, dopóki nie przeprosisz!

– Ciebie? Nigdy w życiu!

Ojciec podnosi rękę, jakby miał spoliczkować Waławę, ale potem ją opuszcza. Mamusia ciągle obejmuje Stasika. Przygryza wargę i w tym momencie zauważam, jakie czerwone ma oczy, jakie opuchnięte.

– Do pokoju, Waławie! Natychmiast!

Waca rusza z miejsca, wolno, wolniutko. Jeden krok, dwa, trzy. Cicho jak kot aż do chwili, gdy zatrząskują się za nim drzwi.

– Przestań... przestań... przestań... – zawodzi Stasik.

– A ty czemu się na mnie gapisz? – ryczy ojciec. Spogląda na Stasika, nie na mnie, ale serce zaczyna walić mi jak młotem. Ciepła struga spływa na wyściełane krzesło pode mną.

Ojciec odwraca się na pięcie i wybiega z mieszkania, wciąż ściskając w ręce krawat. Słysząc łoskot zamykających się za nim drzwi, które ledwie widzę przez migotliwą zasłonę łez. Na zewnątrz tata wrzeszczy na naszą wścibską sąsiadkę, każąc jej pilnować własnego nosa, do wszystkich diabłów.

– Nic się nie stało, Broniu – mruczy mamusia, kiedy przyznaję się, że się zmoczyłam. – To było niechcący.

W pokoju pod nami ktoś wali w sufit, czyli w naszą podłogę. W korytarzu wścibska sąsiadka wyrzeka na wszystkich Polaków. Wszyscy jesteśmy tacy sami. Uważamy się za coś lepszego niż Rosjanie. Zadzieramy nosa, jakby w naszych żyłach płynęła błękitna krew, podczas gdy tak naprawdę jesteśmy bandą nieokrzesanych prostaków i zdrajców, którzy tylko czekają, żeby wbić Rosjanom nóż w plecy.

Jakiś czas później, umyta i pachnąca najlepszym mydłem mamusi, otwieram drzwi do pokoju dziecinnego. Waławę rzucił się na łóżko, twarzą do poduszki. Siadam obok niego i kładę mu rękę na głowie. Włosy ma miękkie, ale dziwnie pachną, a kilka kosmyków lepi się od smoły.

– Waca, czemu jesteś taki zły na tatę? – pytam.

Brat nie strząsa mojej ręki, jak się obawiałam. Mamrocze coś w poduszkę.

– Nie słyszę. – Głos mi się łamie, ale udaję mi się nie rozplakać.

Waławę podpira się na łokciu i zwraca w moją stronę. Czoło ma umorusane sadzą. Na prawej skroni zauważam skaleczenie.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Nazywa się Rumiancewa.

Wymawia to nazwisko tak, jakby było przekleństwem. Bo rzeczywiście nim jest. Cała ta gadanina o szkole i lekcjach tańca to jedno wielkie kłamstwo. Jedziemy do Petersburga tylko z mamusią.

– Rumiancewa – oznajmia mi brat – ukradła nam tatę.

Jak ktoś może ukraść tatę? Jakby był jabłkiem na straganie. Albo suszącą się na słońcu koszulą. Waławę ciągnie za strup, który ma na brodzie. Podrapał go kocur, tak mi powiedział. Skóra pod spodem jest różowa i pomarszczona. Czy nie słyszałam, jak chwyta się niedźwiedzie? Trzeba je zwabić do beczki wysmarowanej w środku miodem.

– No to my ukradnijmy go z powrotem. Ty i ja.

Na ustach Waławę pojawia się uśmiech. Dorosły uśmiech oznaczający, że śmiały plan, który jestem gotowa mu przedstawić – pełen sekretów, przełazenia przez płoty i przebrań stworzonych z teatralnych kostiumów od Łukowicza – to tylko jedna z moich bajek.

Nie ma szans w starciu z nagą, bezlitosną świadomością, że ojciec nie należy już do nas.

(...)

Lekcje dla baletnic odbywają się w tej samej sali co nasze wieczorne lekcje dla „maluchów”, ale w świetle wiosennego dnia pomieszczenie wydaje się większe i wspanialsze. Przyszłam przed czasem i rozgrzewam się w kącie – jedynym miejscu, co do którego mam pewność, że

do nikogo nie należy. Lustra zostały dopiero co wypolerowane, w powietrzu wisi jeszcze drażniący zapach amoniaku. Podłoga nadal jest gdzieś tam wilgotna. Czuję, jak rajstopy robią mi się od niej mokre, kiedy siadam, żeby rozluźnić biodra. Jako pierwszy zjawia się akompaniator, a po nim baletnice; niektóre z nich zerkają na mnie z zaskoczeniem. Torby ze strojami na zmianę lądują przy drzwiach, jedne ciśnięte nieuważnie i z hałasem, inne ułożone starannie w szeregu. Nie znam wszystkich spośród przybyłych, ale Olgę Preobrażeńską rozpoznaję natychmiast, bo widziałam ją na afiszu Teatru Maryjskiego. Podchodzi do pianisty i pyta go o coś, czego nie słyszę. Akompaniator pozwala jej zagrać kilka nut, po czym z zapalem kiwa głową. Rozpoznaję także Annę Pawłową. Wbiega do sali, zakrywając usta koniuszkami palców, i oznajmia, że właśnie widziała pierwsze tej wiosny przebiegnię. Towarzyszy jej ostra woń perfum. Trzy inne tancerki wchodzi za nią, pogrążone w rozmowie, a ja zapamiętuję każde wypowiedziane słowo.

– Dni są jeszcze zimne. Ale coraz dłuższe.

– Ani się obejrzymy, a nadejdą białe noce. Rozgrzewam się dalej i rozglądam, żeby niczego nie przegapić. Przed zajęciem miejsc przy drążku baletnice poprawiają sobie pointy, ciasniej zawiązują wstążki i zanurzają czubki baletek w pudełku z kalafonią. Ich wełniane rajstopy do ćwiczeń są czarne, tak samo jak moje. Smukłe kostki Pawłowej mogą się wydawać delikatne, jednak tancerka wciska pointy w sproszkowaną kalafonię z zaskakującą siłą.

Krzesińska zjawia się ostatnia, tuż przed nadejściem maestra Cecchettiego. Jej służąca – a w każdym razie ktoś, kto na nią wygląda – zabiera jej torbę oraz miejskie ubrania i pospiesznie wychodzi z sali. Pilnuję, żeby nie gapić się na słynną baletnicę, ale zauważam jej różowe jedwabne rajstopy. I to, że jest niższa, niż wydaje się na scenie, pewnie dlatego mówią na nią Mała. Przed zajęciem

miejsca przy drążku *prima ballerina assoluta* omiata wzrokiem salę. Spojrzenie jest szybkie niczym świst bata, ale wystarczająco przenikliwe, by zderzyć wszelkie maski i obnażyć wszystkie niedoskonałości. W jednej chwili ja także zostaję poddana ocenie.

Nie zagroisz mi, mówią jej oczy. Nie z tym wyglądem. Nie muszę zwracać na ciebie uwagi.

Jak bardzo boli takie lekceważenie! Jaki to wstyd! Na szczęście nie mam czasu go rozpamiętywać, bo otwierają się drzwi i wchodzi Cecchetti, stukając laską w podłogę. Wdzięcznym ukłonem wita baletnice i pokazuje pianiście, żeby się przygotował. Jego lekcje zawsze zaczynają się punktualnie.

– Broniu, ustaw się, dziecko – maestro wzywa mnie z kąta. – Szybko, szybko...

Jest zniecierpliwiony, strzela palcami i wskazuje jedyne wolne miejsce, na końcu drążka. Nie ma czasu do stracenia. Dziś skoncentrujemy się na *port de bras*.

– Wszyscy gotowi. Zaczynamy!

Zajmuję miejsce, chwytam drążek. Za mocno, bo czuję, jak jego kształt odciska się na mojej ręce. Primabaleriny stoją w pozycji pierwszej, słuchając wskazówek Cecchettiego. Maestra interesuje absolutna precyzja. Jakość, nie ilość. Nawet największa artystka podczas jego zajęć jest – i zawsze będzie – jedynie uczennicą. Rozbrzmiewa muzyka. Lekcja zaczyna się od zwykłych ćwiczeń rozciągających i *pliés*, takich samych, jakie robiłam już tysiące razy.

– Powinnaś być z siebie dumna, Broniu – przypominam sobie słowa mamusi, ale lustrzane ściany są surowe i nieubłagane. W głowie brzmi nowy głos, mocniejszy niż pochwały mamy czy Frosi. Nie dziwi mnie, że Krzesińska mnie zlekceważyła. Pozostałe baletnice są pewne siebie, podbródki trzymają dumnie uniesione. Ich ruchy są pełne gracji, a twarze i sylwetki emanują pięknem. Mają krótkie tułowia i długie nogi, moje ciało natomiast jest krępe, przysadziste, nie pasuje do lekkości tiulu. Wątpliwości oplatają mnie niczym

lepka pajęczyna. Zamieram pośrodku tej lustrzanej sali. Moje ręce i nogi stają się ciężkie, nie mogę nimi poruszyć. Krew dudni mi w uszach. Zostaję w tyle za muzyką.

I w tym momencie czuję smagnięcie, ostry ból, który wrywa mnie z rozpaczą i bezsilności. Maestro Cecchetti uderzył mnie w łydkę swoją laską. Muzyka cichnie. Wszyscy na mnie patrzą, niezdarną krowę, dziewczynę, która wypadła z rytmu. Kąciki ust Krzesińskiej unoszą się w drwiącym uśmiechu.

– Broooniu, weź się w garść. – Głos maestra eksploduje tuż nad moim uchem. – Plecy prosto! Broda do góry! I jeszcze raz, od początku.

Surowość w jego głosie jest gorsza niż ból uderzenia. Ale działa. Strach znika. Muzyka wraca do początku, posłuszna i giętka, a moje nogi i ręce za nią podążają. *Attitude croisée devant... attitude éffacée derriere...* dłonie otwarte... dłonie do dołu...

Myśli ustępują, kontrolę przejmują mięśnie. Nadchodzi moment, gdy ciało i muzyka są jednym i nic innego się nie liczy.

– Lepiej... lepiej... jeszcze raz...

Maestro Cecchetti podchodzi i klepie mnie po głowie.

– Bardzo dobrze, Broooniu – mówi. A potem pochyla się do mnie i szepcze: – Broooniu, nigdy nie patrz na innych. Słuchaj mnie i tańcz.

Kiedy lekcja dobiega końca, nie dołączam do wianuszka, który powstał wokół Cecchettiego, ale i nie wychodzę. Czekam, aż sala znów opustoszeje, potem podchodzę do miejsca, w którym stała Krzesińska. Górny drążek jest za wysoko, ale i tak za niego łapię, a potem puszczam. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, poruszam ramionami tak, jak uczył nas maestro, kontrolując równowagę i tempo, linię i siłę.